

## Diamenty matematyki

Czytanie książki Krzysztofa Ciesielskiego i Zdzisława Pogody *Diamenty matematyki* przypomina spotkanie ze starym znajomym. Usłyszeć można na ogół coś nowego (tym więcej, im dłuższy czas upłynął od ostatniego spotkania), ale zjawiają się także historyjki i tematy dyżurne. W różnych rozdziałach *Diamentów* snują się jak nitki babiego lata ślady wykładów ze szkół OKM, artykułów z *Delty*, anegdotek Ananiasza Pośmiejchowskiego itd. To nic złego. W końcu u dobrych znajomych lubimy ich przewidywalność. Gdy w nowe opowiadania wplatają znane anegdoty, wiemy, że wszystko u nich dobrze i po staremu.

Autor książki często mierzy w konkretny krąg czytelników. Krakowskich kolegów ucieszyłby, jak myślę, czytelnik maturzysta, taki w dodatku, który (gdy już przekwitną kasztany) nie chce mieć z matematyką nic wspólnego, bo zamierza studiować geografię, literaturę francuską, a może medycynę. W szkole karmią go równaniami kwadratowymi z parametrem, ponurym badaniem przebiegu zmienności funkcji, okrawkami wykoślawionej geometrii analitycznej. Nudne to, sztampowe, wyprane z kontekstu, odczłowieczone i ahistoryczne. Paul Halmos, świetnie ujmując uczucia masy swych kolegów po fachu, może przez to mówić *smuci mnie, że tak niewielu wykształconych ludzi wie, iż mój przedmiot istnieje naprawdę*.

Treść *Diamentów* i sposób jej podania pozwalają mniemać, że jedną z motywacji napisania tej książki była chęć częściowego choćby rozwiania trosk Halmosa. By naprawdę wiedzieć, na ile się to udało, trzeba by przez rok pouczyć matematyki w (powiedzmy) humanistycznej klasie maturalnej jakiegoś liceum z pretensjami i w ramach eksperymentu dać *Diamenty* do czytania różnym miłym osobkom płci żeńskiej (tylko mi proszę seksizmu nie zarzucać), które zamiast matematyki wolą zdać na maturze historię czy angielski. Niech poczytają, podyskutują ustnie albo i na piśmie; większy będzie z tego pożytek niż z obliczania *be kwadrat minus cztery a ce* w celu rozwiązania równania  $bx^2 + ax + c = 0$ . Jestem dziwnie spokojny, że przynajmniej niektórym trudniej byłoby chwalić się później w towarzystwie trójczyną z minusem z matematyki.

*Diamenty matematyki* może oczywiście wziąć do ręki wielu innych czytelników. Dorosły, zawodowy matematyk przeczyta je z przyjemnością w pociągu z Wrocławia do Warszawy (z Krakowa do Warszawy jeździ się teraz chyba odrobinę za szybko) albo w deszczowe wakacyjne popołudnie. Czytelnik dorosły pozbawiony wykształcenia matematycznego wykraczającego poza tabliczkę mnożenia i umiejętność rozwiązywania układu równań liniowych z dwiema niewiadomymi (zwany, nie wiedzieć czemu, humanistą) też może spróbować sięgnąć po *Diamenty* – i dowie się dużo, choć zachodzi obawa, że nieliczne frazy w rodzaju *No bo ile to jest, na przykład, kapitan Kloss do czwartej potęgi lub sinus z kapitana Klossa?* albo *... istnieje rozmaitość z formą E osiem, krzyżyk w kółku, E osiem (jest to pewna macierz o wymiarach 16 x 16)* utwierdzą go w żywym z dawną przekonaniu, że matematyka jest to hermetyczna dziedzina, którą zajmują się panowie nie potrafiący rano włożyć dwóch jednakowych butów.

Jak można przeczytać we wstępie, wybór poszczególnych diamentów został podyktowany gustem autorów. O gustach, jak wiadomo, się nie dyskutuje; ten w dodatku niewątpliwie zły nie jest. Mocno reprezentowana jest teoria układów dynamicznych, topologia, geometria; nie zapomniano o analizie matematycznej, teorii liczb i podstawach matematyki. O szczegółach pisać nie będę, polecam ogólnie książki zamiast recenzji. Wielu zauważy, że diamentki kombinatoryczne czy probabilistyczne Autorzy pominęli. Nie można z tego czynić zarzutu – kto chce mieć istotnie inną książkę o diamentach, niech ją sam napisze.

Na koniec dorzucmy, że *Diamenty* przesiąknięte są Krakowem. W jakim innym mieście przyszyłoby np. komu do głowy specjalnie *zaznaczyć, że swą pracę Polya opublikował w Biuletynie Akademii Umiejętności w Krakowie*; gdzie jeszcze poetka ukrywa się pod pseudonimem Ludolfina, a studenci matematyki – UJ między wierszami – bawią się na przedstawieniach *Wściekłego tensora*? Ma to swój urok, nawet dla niżej podpisanego warszawiaka.

Paweł STRZELECKI